

Od autora: No cóż, zaczynamy...

Miało być twardo - nie wyszło. Miało być boleśnie - ech...

No ale może będzie przynajmniej ciekawie :)

Obudził go żar, który swoim zwyczajem lał się w tym miejscu od samego poranka do niemalże samego wieczora. Podniósł obolałą głowę i rozejrzał się po okolicy - blado żółty piasek. Nic więcej tylko wszechogarniające morze piasku, niezmaczone nawet samotnym śladem obcego kształtu.

Dobłą chwilę zajęło mu przywrócenie świadomości wydarzeń, które wygnały go w to miejsce. Pamiętał akcję. Pamiętał pełną radości ucieczkę z zadymionego miasta. Gdzieś nawet w dolnych warstwach pamięci dostrzegał starą, podziurawioną furią wiatru chatę. Tam usiedli, tam świętowali. Chwilę później film się urywa, aby powrócić w tym miejscu - milczącej pustyni.

Dźwignął się do pionu. Zahuczało w zmęczonej głowie, a ból kończyn wykrzywił spierzchnięte usta. Miał nadzieję, iż patrząc z wyższego punktu, odnajdzie jakiś ślad, odnajdzie jakiś falujący w oddali cel. Nic takiego się jednak nie wydarzyło, pustynny wiatr wyczyścił wszelkie pozostałości po ludzkiej bytności, a wzrok nie dostrzegł, nawet w oddali, niczego co mogłoby służyć jako punkt wędrówki.

Usiadł i schował pomarszczoną twarz w dłoniach. Nie miał w zwyczaju płakać i tym razem również łzy nie popłynęły, mimo iż poczuł się zdradzony po raz setny. Nie miał wątpliwości, jakie zdarzenia poprzedziły wycieczkę tutaj. Ludzie, chodź do tej pory zazwyczaj określał ich mianem przyjaciół, lub chociażby kumpli, postanowili go pożegnać. Najpewniej spory przyczynek tej decyzji, należy przypisać dwóm, ale jakże okazałym plikom banknotów, czyli jego „działce” ze skoku na furgon.

Kurwa. – zaklął w duchu. Te parszywe bękarty zostawiły go, aby tu zdechł, dla marnych paru tyśi... „Koleczy”, którzy jeszcze dzień wcześniej obejmowali go jak druha, śmiali się z nim, poklepywali, teraz wypieprzyli jak śmiecia do zsyu. Do tego nie mieli w sobie tyle odwagi by po prostu go kropnąć, nie, woleli powierzyć to zadanie dziennemu żarowi lub innej formie pustynnej śmierci. Zdechnie... jak pies...

- Kurwa – tym razem to słowo usłyszał świat. – Nawet tutaj się ojciec nie pomylił: żył jak pies i zdechniesz jako beapński kundel... Nikogo nie obchodzi kolejny, zapchlony Tonto...

Ta myśl nawet bardziej ukłuła niż uczynek „kumpli”. Miał pięćdziesiąt osiem lat, ręce styrane kolejnymi bezsensownymi pracami, z których wylatywał, bo... bo wylatywał, zazwyczaj nikt nawet nie przejmował się tym, aby powiadomić go o powodzie takiej decyzji. Twarz zaorana bruzdami wydarzeń, głównie wszelkiego rodzaju zgryźliwościami losu, jego ustawicznemu pluciu w twarz. A teraz, aby nie zostawić tak pięknego żywota bez należytej laurki, zdechnie na środku pustyni i nikt, kurwa, nikt, się o tym nawet nie dowie.

- Nie! – Zakolatało się w głowie. – Nieee! Kurwa! Nieee! – Darł się ile sił w płucach. Pomiął tętniący ból w skroniach, pominął wypalone usta – darł się tak mocno, tak gorliwie, jak jeszcze nigdy wcześniej w życiu. Cała ta nawarstwiona złość na wszystko co go spotkało, niezależnie czy wydarzenia te były następ-

stwem przypadku, czy celowego działania, wszystko to teraz wypływał przed siebie. Oczyszczał swój organizm ze zgnilizny czynów, jaka nagromadziła się przez okres jego tułaczki po tym świecie. Krzyczał bo żył. Krzyczał bo wystarczy... wystarczy już wycierania nim kloaki wszechświata. Coś pękło, coś co się już nigdy nie zrośnie. Upadł na kolana, zmarł. To koniec, zdawał sobie z tego sprawę, może marny, może... ale będzie tylko jego...

Zza piaszczystej wydmy wyłoniły się dwa cienie. Zostawiając za sobą małe wgłębienia w piasku dotarły na jej szczyt.

- No i co sądzisz? – zapytał jeden.

- Idealny! – odparł drugi.

- Naprawdę tak uważasz? Toż to wrak...

- Dokładnie czegoś takiego szukaliśmy, uwierz mi.

- Ech...

- Zaufaj mi braciszku, to jest nasz wymarzony kandydat.

- Skoro tak twierdzisz... Dobra, idę... Aha, jak wyglądam?

- Bosko – zachichotał pierwszy.

- Ty jak coś powiesz – uśmiechnął się drugi.

Jeden z braci, uważając aby nie zakopać się w piaszczystych kopcach, powędrował w kierunku leżącego Indianina.

- Nie przeszkadzam? – pytanie, żywcem wyciągnięte z alkowy zaskoczonej panny, pojawiło się tuż przed Tatanką. Ten momentalnie podniósł głowę i zobaczył niewielką postać.

- Coś ty...?

- No wiesz! – Obruszył się gość. – Chyba, jeśli już to: ktoś ty?

- Dobra, kurwa, ktoś ty? – wysyczał.

- Nikt szczególny.

- No to żeś wyjaśnił. Czego chcesz?

- Ty za to, jak na osobę pozostawioną bez żadnego wyjścia, można by rzec, że jesteś nieuprzejmy.

- O ja pierdole... Czy to się nigdy nie skończy... Nie dość, że zostałem wyruchany przez wszystko co pełza, to jeszcze trafiają mi się pyskate miraże... Co ja takiego zrobiłem, że to ciągle otrzymuję?

- Hmm. Nic. Nic nie zrobiłeś. Tak po prostu jest.

- No ta, faktycznie to wiele wyjaśnia...

- Słuchaj, możemy tu usiąść, możemy sobie podumać nad niesprawiedliwością losu, przeciwnym wiatrem i innym tego typu zdarzeniom. Pewnie byłaby to fascynująca dyskusja - Przekrzywił głowę. - Chociaż..., patrząc na ciebie, wydaje mi się, że jednak by nie była...

- Jasne. Wiesz, chyba cię po prostu sieknę, co ty na to?

- Oczywiście, możesz spróbować. Ale... czy nie lepiej byłoby się stąd wydostać i przekierować tą całą złość na tych, do których faktycznie czujesz urazę?

- Urazę?! O kurwa, nie dość że pyskuje to jeszcze poeta! Wyrwę im jaja przez przełyk, zahaczając przy tym dużym palcem każdy ważniejszy organ w ich ciałach!

- O! Widzisz! Zaczynam wyczuwać nić porozumienia. To co, robimy wymiankę?

- Wymiankę? Aha, no tak, jasne, właściwie nie wiem czemu się dziwię... To co to za wymianka?

- Słuchaj. Mam wrażenie, że nie osiągnąłeś za dużo w swoim życiu. Nie zrozum mnie źle, nic mi do tego, ale siedzisz z rozciętym łbem na środku pustyni... Sam rozumiesz...

Tatanka potarł dłonią o czubek głowy, na palcach dostrzegł ślady czerwonej substancji, spróbował ją językiem, tak, to była krew. Nie pierwszy raz jej kosztował, tak więc nie miał żadnych wątpliwości.

- No to przynajmniej wyjaśnia, czemu gadam z jakimś dziadkiem na środku niczego...

- Możesz to i tak sobie wytłumaczyć. Nie dbam o to, ważne jest coś innego. Potrzebuję ciebie tak, jak ty potrzebujesz mnie.

- Taaa, historia mojego życia... Dawaj, miejmy to już za sobą. Co mam zrobić?

- Oh, to właściwie drobiazg...

- Aha, taaa. Właśnie o czymś takim mówię. Pyłek, kruszynka za ledwie, a potem dupa w piach i dumaj gdzie leżć...

- Nie. Jednego możesz być pewien, umowa zostanie wypełniona z obu stron. Masz moje słowo.

- No to dawaj panie słowo, lećmy już, bo się robi ciemno, a ja nie mam czasu na pogaduchy.

Człowiek oparty o zmęczony kij zamyślił się. Bez wątpienia składał coś, co prawdopodobnie było obecnie w kawałkach albo nie było skore do opuszczenia umysłu. Spoważniał, chodź to była minimalna różnica w stosunku do poprzedniego stanu. Po prostu siwe włosy trochę jakby ugrzeczniły się, oczy przestały szukać odpowiedzi w linii horyzontu, a sylwetka z lekko zgarbionej, przekształciła się w wyprostowanie z lekko mniejszym garbem.

- Potrzebuję bohatera.

W takich sytuacjach, przy takich zdaniach, zazwyczaj pojawia się wycie kojota, a w najgorszym wypad-

ku, chociaż zagubiona sowa huknie sobie raz, czy dwa. Tu jednak, pośrodku niczego, jedynie mały skorpion podniósł swój łeppek ponad linię piasku, a i tak, czyn ten był podyktowany raczej chęcią wypatrzenia teoretycznej zdobyczy, niż wymaganym podkreśleniem wypowiedzianych słów.

- Czego?! A ja myślałem, że to mi jest gorąco. Ty weź dziadek podreptaj sobie chwilkę, może cię to ochłodzi... Czy ty mnie w ogóle widzisz? Jestem starym, styranym życiem, Indiańcem... A nie... tym czymś... co niby mam być – ciężko mu było nawet wymówić to słowo, paliło w język, broniło się przed jakimkolwiek operacjami na nim.

- W jednym masz rację. Faktycznie nie jestem w stanie cię zobaczyć – jestem ślepy. Od dawna, więc nie masz co robić przepraszającej miny...

- Wcale nie zamierzałem robić przepraszającej...

- W całej reszcie się mylisz! Jesteś idealną osobą do tego celu. Zresztą, co masz do stracenia, co? No wymień te dziesiątki powodów, które niesłusznie wyгнаły cię w to miejsce. Wykrzycz mi co masz takiego pilnego i ważnego do zrobienia w swoim życiu, aby parskać na kogoś kto ofiarowuje ci coś, co może wypełnić tę niesioną przez ciebie pustkę?

Tatankę zatkąło, słowa dziadka trafiły w skrycie ukrywaną myśl. Pustka. Tak... Nie chodziło o to konkretne miejsce, nie chodziło o żadne miejsce. Bo ta otchłań podążała razem z nim od lat. Tak naprawdę to czuł, że jedynie szamocze się w nieustającym pragnieniu kolejnego oddechu. A cała reszta była niczym.

- Co konkretnie masz na myśli? – Odparł w końcu.

- Widziałem... - Tatanka już otwierał usta. – Zamknij się. – Tatanka nie tylko się zamknął, ale jednocześnie przejechał dłonią przed oczami dziadka, zaskoczony tak trafny spostrzeżeniem. – Widziałem ciebie – widziałem twoje jutro, a może pojutrze. Wiem co zamierzasz zrobić i zrobisz to. Ja nie oczekuję wiele. Nawet podam tobie pomocną dłoń. Ale przyjdę... kiedyś i poproszę cię o coś. A ty to zrobisz. Tyle.

- Będzie bolało?

- Pewnie tak, a robi ci to jakąś różnicę?

- Właściwie to nie.

- To co, jaka decyzja?

Tatanka patrzył w niewidzące oczy starca przed nim. Nogi nosiły go po tej ziemi już wiele wiosen, wiele gorących lat i całą masę tych paskudnie srogich i dokuczających w najmniej potrzebnym momencie zim. Było ciężko. Tak, ciężko. Wprawdzie wypadało by powiedzieć, że były również momenty dla których warto było żyć, ale byłyby to nieprawda. Zazwyczaj było po prostu ciężko, a jak już gdzieś w oddali, takiej na samym końcu parkowej alejki, takiej do której należy podejść jeszcze parę kroków i osiągnąć upragnionego celu, majaczyło coś na kształt szczęścia czy też nagrody, to właśnie w takim momencie jego ciało lądowało na czymś na kształt obecnej pustyni. I znowu było ciężko. Wystarczy, jak na jedno życie...

- Zgoda...

- Och... Skłamałbym mówiąc, że się tego nie spodziewałem – uśmiech, rząd zębów, rozrywane kąciuki ust. Ten grymas zakończony został splunięciem na otwartą dłoń. Dłoń zaś powędrowała przez oczy Tatanki. – Umowa?

- Umowa.

Dziadek spojrzał jeszcze raz prosto w oczy Tatanki. Patrzył tak, jak by nie tylko widział swojego rozmówcę, ale również posiadał umiejętność czytania go. On patrzył za głęboko, jak na jakiegoś zwariowanego piaskowego starucha, patrzył niemalże boleśnie. Tatanka, aż się cofnął o krok, bo nie mógł znieść naporu tego wzroku. I nagle wszystko się urwało. Powrócił gorący wiatr, piasek dalej sypał swoim odwiecznym rytmem. A dziadek odwrócił się i zaczął odchodzić.

- Ej... Ty! A ja? Ja dalej tu jestem! Co mam robić? Przeszedłem test, czy nie? Kurwa, mówię do ciebie!

- Idź za mądrym żółwiem.

- No tak, mogłem się tego spodziewać... No ale jak się wypina dupę, do jakiś włóczęgów, to powinno się oczekiwać, że wcześniej czy później ktoś w tę dupę kop... - przerwał, bo dostrzegł, że koło jego stóp przeszedł właśnie mały żółwik. Zupełnie go ignorując, stawiając ostrożnie łapkę za łapkę, wędrował w kierunku powoli chylącemu się już ku zachodowi słońcu.

- Rany! – wykrzyknął Tatanka. – Dzięki! Dziadu... eee ... znaczy dziadku...

Dwie godziny później żółwik i on, byli już dobre paręset metrów dalej od miejsca spotkania. Tatanka, już bez takich pozytywnych emocji, odnośnie mechanizmu jego ratunku, człapał i mamrotał pod nosem.

- No tak, kurwa... Inni dostają tygrysa... No niech by chociaż dał mi jakąś jaskółkę, ale nieee... Dziad musiał mi dać najwolniejsze stworzenie świata, a ja dreczę za nim, jak jakiś dupek... Kurwa, to tylko mnie się przytrafiają takie rzeczy... Mądry żółw... Chyba się zestarzeję zanim gdzieś dotrzemy.

Mądry żółw szedł nie zważając na jego docinki, a trzeba dodać, że od jakiejś godziny płynęły one w jego kierunku w trybie ciągłym. No ale mądry żółw nie sprostaby swojemu przydomkowi, jeśli by zwracał uwagę na takie drobnostki. Nie. Wtedy byłby nerwowym żółwiem. Parł więc dzielnie przed siebie... do czasu, aż słońce zupełnie straciło swój pomarańczowy wpływ na świat. Wtedy też się zatrzymał. Z oddali dało się usłyszeć przeciągły jęk, jak i parę „ciepłych” słów...

- No nie! Teraz jeszcze zrobisz sobie odpoczynek, no kurwa... Ruszaj skorupę i *pędzimy* dalej! A czymże ty się tak zmęczyłeś, przecież przez pół dnia przeszliśmy chyba z kilometr! Kurwa, zdechnę tu... No nie obrażaj się. Dobra, dobra, już nie będę... A śpij sobie odwrócony na bok, gadać nie musimy...

Noc rozlała swoje czary nad zmęczonymi ciałami, żółwia i pewnego, deko już mniej wzburzonego Indianina. Cisza i delikatny szum piasku. Tylko to panowało w okolicy.

- Śpisz? – po raz ostatni tej nocy zapytał Tatanka; zupełnie nie obrażonego, acz lekko chropowatego, udającego, że śpi żółwia.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z

dnia 4 lutego 1994r.).

purpur, dodano 16.03.2016 20:46

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.